

Ewa Poblócka

DZIENNIKI JAPOŃSKIE (2)

NIEDZIELA, 31 PAŹDZIERNIKA

Dziś odważyłam się pierwszy raz pojechać sama na lotnisko. Odbierałam Małgosię z Australii. Ma ona spędzić ze mną kilka dni. Chcemy zamienić się w turystki i obejrzeć trochę fascynującego świata świątyn i Buddha. Okazało się, że droga na lotnisko Narita położone około 200 km (!) od centrum Tokio była prosta. Dojazd z mojego tutejszego domu trwał niecałe 2 godziny. A na lotnisku wszystkie informacje po japońsku i po angielsku.

PONIEDZIAŁEK, 1 LISTOPADA

Dziś normalny dzień zajęć na uczelni. Nikt tu nie świętuje. A mnie brakowało zapachu tysięcy palących się świec... Zapaliłam symbolicznie jedną i postawiłam obok kilku chryzantem, które kupiłam w drodze do domu. Z Warszawy dzwoniły *via* skype moje córki, prosząc o wskazówki dotyczące pieczenia drożdżowych bułeczek („szneki z glancem”), które zawsze były w Oliwie, i z pytaniami o zupę fasolową (to tradycja naszego domu w Warszawie). W Tokio atmosfera Halloween była odczuwalna już parę tygodni temu, ale przekładało się to tylko na... przebranie obsługi niektórych restauracji. Im straszniejsze, tym bardziej budziły zainteresowanie, zwłaszcza maluchów.

WTOREK, 2 LISTOPADA

A dziś widać już było pierwsze ozdoby świąteczne... Torebki papierowe z choinką i sankami. Myślę, że za tydzień/dwa pojawi się sztuczny śnieg, a to spowoduje szaleństwo prezentów gwiazdkowych...

ŚRODA, 3 LISTOPADA

Dziś dzień wolny od pracy – święto kultury – tylko takie wytłumaczenie usłyszałam od asystentki na uniwersytecie. Planujemy więc wycieczkę. Moim marzeniem zawsze było znaleźć się gdzieś w pobliżu Góry Fuji. Oglądałam ją wiele razy z okien pociągu i przez kilka dni przez szybę jednego z tokijskich hoteli, gdzie mieszkałam na 34. piętrze – przy dobrej widoczności Fuji dosłownie zaglądała w okno.

W pociągu, gdy pojawiła się na horyzoncie, wielu Japończyków ściszało głosy i robiło się jakoś... uroczyście! Fuji! Postanowiłam więc pojechać gdzieś bliżej. Wybór padł na Odawara, skąd można było wykupić bilet na wycieczkę do Hakone-area. W biurze turystycznym poinformowano nas, że należałoby mieć co najmniej dwa dni, żeby zajrzeć do każdego zakątka, jaki proponuje przewodnik. Okazało się jednak, że nawet jeśli mamy tylko około sześć godzin, to też warto zobaczyć ten przed paroma tysiącami wulkaniczny krajobraz. Najpierw więc podróż zatłoczonym pociągiem w typie kolejki elektrycznej, na stojąco, bo z powodu święta pełno było Japończyków i trochę Amerykanów, Niemców i Szwajcarów. Jechaliśmy w górę, coraz wolniej, pociąg na kilku stacyjkach zawracał (jak pod Zakopanem), a za oknami rozpościerały się bajeczne widoki na coraz bardziej kolorowe lasy, ogrody botaniczne, muzeum rzeźby openair, ogród begonii, parujące gorące źródła. Prawie wszyscy jechali tam, gdzie my, do Hakone-Yumoto, żeby przesiąść się do kolejki „zębatej”, też zatłoczonej, i podążać coraz wyżej. W tej kolejce bardzo sympatyczny Japończyk zaczął nas, pytając, w jakim języku rozmawiamy. Myślał, że to rosyjski lub niemiecki. Kiedy usłyszał, że polski, ustąpił nam miejsce i z zachwytem powiedział: „Polando – Chopin! I love Chopin”. Miło nam się zrobiło... (Podobna sytuacja miała miejsce kiedyś w sklepie z ubraniami „design”. Sprzedawca również zapytał o język, w którym mówimy, i natychmiast wykrzyknął: Chopin! I love Chopin. Gdy przyznałam się, że może kupić w sklepie

w Japonii płytę, na której gram Chopina właśnie, dostałam duży rabat! Tym bardziej „cenny” jest kolejny szal, który tam kupiłam.) W końcu kolejka dojechała do końcowej stacji. Rzut oka na dolinę – parujące źródła, zapach siarki w powietrzu – i znowu przesiadamy się, tym razem do wagonika kolejki linowej. Tam już każdy ma swoje miejsce i jedziemy wyżej i wyżej. Wszyscy z aparatami fotograficznymi, ja – „wolna” – usiłuję zatrzymać przed oczami i w pamięci widoki. Tylko Fuji jakoś nie widać. Niestety żadne biuro turystyczne nie dawało gwarancji na bezchmurne niebo... Ale i tak atmosfera miła i w końcu cały dzień poza Tokio.

Wreszcie osiągnęliśmy cel. Przed nami Lake Ashi, a tam już czekał statek Sightseeing Cruise. Najpierw dłuższą chwilę siedzieliśmy w środku, ale poczułam „zew krwi” i poszliśmy na pokład. Widoki fantastyczne, ale chłodno, więc trzeba było ubrać się cieplej. Na szczęście miałam ze sobą ukochany szary sweter, z którym się nie rozstaję, i jakiś szal, żeby otulić głowę. Płyniemy, płyniemy, płyniemy, obok turyści szaleją z kamerami, z aparatami, a my płyniemy. I nagle chmury opadają i ukazuje się najpierw tylko ośnieżony czubek, a potem zbocze Góry Fuji. Udało się. Nie wiem, co takiego jest w tym widoku, że tak fascynuje. Zrobiłam nawet parę zdjęć z Fuji w tle. Przejazdka zakończona. Do Odawara wracaliśmy autobusem. Potem znów pociąg do Tokio. Piękny dzień!

PIĄTEK, 5 LISTOPADA

Z samego rana pociąg, a potem taksówka na targ rybny Tsukiji, blisko centrum Tokio. A tam... same skarby w ilościach nieograniczonych! Niestety nie wiedziałam, jak się załatwia wejście na aukcję ryb, która odbywa się bardzo wcześnie rano, ale i tak nigdy w życiu nie widziałam takiej liczby ryb i wszelkiego morskiego dobra. Ponoć jest tych produktów ponad pięćset. Rano po zakupy na targ przyjeżdża ponad 1500 restauratorów. Setki, o ile nie tysiące straganów z glonami, rybami suszonymi, rybami wędzonymi i surowymi, z mączką rybną, ikrą, krabami, ośmiornicami i krewetkami... Na niektórych straganach małe baseny, prawie wszędzie lód i... te odgłosy. Młodzi mężczyźni drą się w niebogłosy, zachwalając, namawiając do kupna, do spróbowania. Ich głosy łączą się ze zgiełkiem miasta i z muzyką płynącą z głośników kilku świątyń, gdzie ichnie „ohtarze” przypominają wystrój podczas naszych „dożynek”. Obok straganów są też malusienkie restauracje, a przed nimi długie kolejki, żeby wejść i zakosztować najświeższe, prosto ze statku sushi. Niestety wcześniej zaplanowane zajęcia nie pozwoliły mi tam spędzić więcej czasu, więc kupiwszy spory pojemniczek „king prawns”, wróciłam do domu. Na wieczór zaplanowana restauracja, a tam suki-yaki.

Knajpka sympatyczna, na 15. piętrze, podzielona na saloniki. Każdy salonik obsługuje inna kelnerka w kimono i z uśmiechem – takim, że wierzysz, że czekała tego wieczoru tylko na ciebie. Zamówiłam sake – ciepłą i zimną i czekamy... Najpierw małe sashimi, czyli przystawka z surowej ryby, potem wjeżdża olbrzymi kamienny talerz, a na nim mięsko wołowe pokrojone w cieniutkie plastry. Każdy taki plaster kelnerka wkłada do wcześniej na naszych oczach przygotowanego sosu z soi i bulionu rybnego, z tym wszystkim gotują się różne jarzyny i kilka rodzajów tofu. Jednocześnie przed nami jak zawsze miso soup i ryż – obie potrawy w miseczkach z przykrywkami. Takie danie je się powoli, rozmawiając przy tym, popijając sake i podziwiając, z jaką wprawą kelnerka na naszych oczach wszystko to przygotowuje, pałeczkami oczywiście! Potem podano mały deser – każdy dostał prostokątną kamienną tackę, a na niej trzy śliczne miseczki, w każdej co innego: galaretkę owocową, specjalnie przygotowany kasztan i kulka lodowa o smaku... słodkiego ziemniaka! Ten deser jadłyśmy już w niejakim napięciu, bo właśnie dało się odczuć lekkie trzęsienie ziemi. Ale ponoć budynek, w którym znajdowała się restauracja, jest niezwykle stabilny... Po takiej uczcie zaczęliśmy już snuć plany na temat steku z tuńczyka...